



► Podziemni drukarze (na zdjęciu druk „Tygodnika wojennego”) dbali o zachowanie reguł konspiracji, ukrywając twarze podczas dokumentacji ich pracy; Warszawa, luty 1982 roku

# Stan wojenny, czyli szybka lekcja konspiracji

Jan Olszerek

**Stan wojenny spowodował, że Solidarność musiała zejść do podziemia. Co to właściwie znaczyło?**

**G**łówną formą aktywności Solidarności po 13 grudnia 1981 roku było prowadzenie niezależnej działalności wydawniczej. W drugim obiegu ukazywały się tysiące tytułów czasopism i książek. Dziennikarze prasy podziemnej, drukarze czy kolporterzy tylko częściowo mogli wykorzystywać dotychczasowe wzorce działania – czyli te z czasów opozycji przedsierpniowej i legalnej Solidarności. Część z tych osób nie miała zresztą wcześniejszych doświadczeń. Konspirowania uczono się więc w praktyce. Pierwsze działania związane w tworzeniu podziemnych pism były trudne, nie istniały jeszcze stałe, powtarzalne mechanizmy postępowania.

**Klienci „Smyka”**

Sytuację dobrze obrazuje kilka relacji z pierwszych tygodni stanu wojennego. Włodzimierz Grudziński, kolportujący najpopularniejsze pismo stanu wojennego – „Tygodnik Mazowsze”, umówił się z redaktorką naczelną Heleną Łuczycową w warszawskim domu handlowym „Smyk”. Wspominał: „Ja przyszedłem, się tam kręcę, oglądam te ubranka, patrzę – rzeczywiście jest Helena po drugiej stronie, się zobaczyliśmy, podeszliśmy. Stoimy, oglądamy ubranka, rozmawiamy. No, i tak sobie chodzimy, ale ja patrzę, że jest jakiś facet, który się nam przygląda, to znaczy udaje, że się nie przygląda, i tak za nami chodzi. Mówię: »Słuchaj, Helena, mamy ogon«. A ona: »Nie, nie, nie, on jest umówiony ze mną po tobie«”.

Podobne spotkanie z Heleną Łuczycową wspominał prowadzący archiwum pisma Piotr Pacewicz. Pierwszy materiał dostał bezpośrednio od niej. „Byłem

z nią chyba przez Anię [Bikont] umówiony na przystanku autobusowym pod ówczesnym kinem Moskwa. I miałem informację, że o jakiejś tam godzinie »X« przyjedzie dziewczyna w futrze i w okularach. No, i rzeczywiście stoję na tym przystanku, było zimno jak cholera i wysiadła Helena, tylko że było to takie wyliniałe małe futerko, które nie za bardzo wyglądało na futro. W związku z tym tak krążyliśmy wokół siebie na tym przystanku. Ona ma strasznie kiepski wzrok. W pewnym momencie jednak chyba się zorientowaliśmy, że my to my, i ona, dając mi takie bardzo niezgrabne znaki, kazała mi za nią iść. Więc szedłem za nią. Sądzę, że trudniej zwrócić na siebie bardziej uwagę, niż myśmy to zrobili, w każdym razie poszła gdzieś do jakiejś klatki schodowej, weszła na samą górę, tak już na poziom strychu tej klatki, i tam zaczęła zza ubrania wyjmować bibułę. I w tym momencie ktoś z tych ►



lokatorów szedł na strych. Ja to wziąłem od niej, wpakowałem sobie w spodnie, za sweter. I to była pierwsza dostawa tego towaru”.

Sytuacje zapamiętane w formach anegdot wiele mówią o tamtym czasie. Warunki wymagały podejmowania nowego rodzaju działań, nawiązywania nowych kontaktów, z czym wiązało się pewne ryzyko. Podobnie jak Helena Łuczywo działało wówczas wielu twórców pism. Skomplikowane systemy działania, struktury druku czy kolportażu nie były jeszcze wówczas rozwinięte. W pierwszych tygodniach stanu wojennego konspiratorzy nawiązywali ze sobą kontakty, sprawdzając się wzajemnie. Ważna była zasada ograniczonego zaufania. Jednocześnie istotne było spotkanie się z kimś osobiście, żeby precyzyjnie przekazać informacje i przekonać się, czy można danej osobie zaufać. W czasie pierwszych prób konspiracyjnych spotkań groza stanu wojennego mieszała się z próbami podziemnej działalności, zapamiętanymi jako zabawne.

### Podziemne BHP

Z czasem, na podstawie nowych i dawnych doświadczeń, powstawał pewien niepisany kodeks konspiracyjnego zachowania. Osoby przychodzące na spotkania redakcji podziemnego pisma, drukarni czy punktu kolporterskiego były zobowiązane do szczególnej ostrożności. Należało sprawdzić, czy nie jest się obserwowanym. Niektórzy mieli swoje sposoby upewniania się, że nie są śledzeni: jechali okrężną drogą, często przesiadali się, przechodzili przez ruchliwe miejsca publiczne, budynki lub podwórka z dwoma wyjściami, korzystali ze specjalnie przeznaczonych do tego lokali nazywanych śluzami. Wykorzystywano też w tym celu te miejsca publiczne, który umożliwiały szybką zmianę samochodu po zbiegnięciu po schodach. W Warszawie taką rolę pełniło np. kilka punktów na Trasie Łazienkowskiej oraz plac Zamkowy.

Konspiratorzy starali się – na tyle, na ile było to możliwe – odseparować poszczególne pionosy produkcji pisma: re-

dakcję, druk i kolportaż. Dzięki temu w momencie zatrzymania osoby z jednego z tych kręgów, można było łatwiej uniknąć zatrzymania osób z innego pionu. Zasadą, często łamaną, było nieangażowanie się przez jedną osobę w wiele form aktywności opozycyjnej. Stosowano hasła dla zweryfikowania osób oraz szyfry. Dawano znaki przez odpowiednie ustawianie zasłon, firanek czy doniczek stojących w oknach. Osoby ukrywające się przybierały pseudonimy, używano fałszywych dokumentów. Rzadko korzystano z telefonów. W razie pilnej potrzeby dzwoniło z budek telefonicznych.

### Zaufać czy nie?

W działaniu podziemnej Solidarności najważniejsze było zaufanie. To jedno z najważniejszych pojęć dla zrozumienia mechanizmów funkcjonowania konspiracji. W lutym 1982 roku – w „Liście do 14 zakładów”, który był przesłaniem do zakładów skupionych wokół Państwowego Instytutu Geologicznego – pisał o tym Maciej Zalewski, działacz Międzyzakładowego Komitetu Koordynacyjnego, jednej z głównych struktur warszawskiego podziemia, i zarazem współtwórca „Woli”, jednego z najpopularniejszych warszawskich pism drugiego obiegu. Zalewski podkreślał, że logiczną zasadą funkcjonowania podziemia jest nieufność wobec innych z obawy o możliwość zniszczenia organizacji. Jednocześnie wskazywał na to, że dla rozwoju działalności konieczne jest odchodzenia od tej zasady – stworzenie wspólnoty ludzi, którzy sobie ufają. W podziemiu wielokrotnie należało podejmować takie ryzyko. „Wtedy trzeba komuś zawierzyć, przemyśleć program, przyjąć porękę, na chwilę odsonić się. Ta chwila powinna być jak najkrótsza, odsłonięte pola najmniejsze, poręka najpewniejsza. Ale ta minimalizacja ryzyka nie znosi zupełnie. Wtedy najłatwiej zawodzą nerwy, spokojny namysł, rozważa. Wtedy najłatwiej o błąd lub prowokację. W takiej sytuacji nigdy za dużo ostrożności. Tak naprawdę tylko z początku solidarność między ludźmi opiera

się na odruchu buntu. Nie pogodzimy się z wojną, z tym stanem, który pozbawił nas nadziei. Ale solidarność odmowy nie jest tą wartością, którą chcemy zbudować. Będziemy solidarni, gdy w poczuciu współodpowiedzialności zaufamy sobie. Ostrożnie, z namysłem. Ale zaufamy”.

Tekst Macieja Zalewskiego dotyczył konkretnej sytuacji, ale dobrze oddaje dylematy solidarnościowej konspiracji. Jej uczestnicy stale wahali się między nieufnością – wynikającą z potrzeby zachowania bezpieczeństwa – a zaufaniem, które umożliwiało podejmowanie współpracy. Można w pewnym uproszczeniu powiedzieć, że w tworzeniu podziemnej sieci kierowano się dwiema zasadami. Trzeba było ufać współpracownikom na tyle, by stworzyć efektywny mechanizm postępowania, i być nieufnym na tyle, by zachować bezpieczeństwo. Siłą rzeczy każdy konspirator musiał ufać pewnej liczbie osób, które działały wokół niego. Każdy kontakt był obciążony pewnym ryzykiem, które minimalizowano przez odpowiednie środki bezpieczeństwa i sprawdzanie danych osób. Powiązania, które tworzyły podziemną sieć, opierały

się właśnie na zaufaniu. Wprowadzenie do opozycyjnych tajemnic niesprawdzonych osób wiązało się z ryzykiem.

W czasie spotkań konspiratorów panowała atmosfera niedopowiedzenia. Każdy miał wiedzieć tyle, ile było potrzebne do wykonania jego zadań. Dziennikarz prasy drugiego obiegu Krzysztof Czaubański z pewną przesadą wspominał moment pojawienia się na zebraniu redakcji „Przeglądu Wiadomości Agencyjnych”: „Zwyczaj bezpiecznie jest nie wiedzieć więcej, niż potrzeba, a już w tamtych wojennych, polsko-jaruzelskich latach zasada ta była dobrą receptą na przetrwanie. Dlatego jak tylko pierwszy raz zaszedłem do redakcji »PWA«, tak od razu zapomniałem, gdzie ona się mieści i kogo w niej spotykam. Ten stan trwa do dziś”.

Dotyczyło to zwłaszcza spraw personalnych: imion i nazwisk oraz adresów. Nowe osoby nawiązujące współpracę często nie przedstawiały się z imienia i nazwiska, informacje o działalności podawano im bardzo ostrożnie. Idący na spotkanie konspirator często nie wiedział, z kim ma do czynienia. Dobrze oddaje to doniesienie tajnego współpra-



Fot.: AIPN

cownika Służby Bezpieczeństwa o pseudonimie „X-2” z grudnia 1984 roku: „W dniu 14 grudnia byłem umówiony z kolporterką dostarczającą nielegalne wydawnictwa (»Wola« i »T[ygodnik] M[azowsze]«). W dniu tym zgłosił się jednak do mnie nieznan mi mężczyzna w wieku ok. 35 lat, blondyn średniego wzrostu, i wręczył mi, abym rozkolportował wśród swoich kolegów z MZK, 15 egzemplarzy wydawnictwa »Wola« nr 42 oraz 5 egzemplarzy »Tygodnika Mazowsze«. W trakcie rozmowy [...] nie komentował przyczyn nieobecności stałej kolporterki”. „X-2” dostał propozycję zorganizowania punktu druku i zgłoszenia się po pomoc do parafii św. Klemensa, gdzie przepustką do załatwienia sprawy miał być specjalny sposób zapukania do drzwi. W rozmowie nie padły jednak żadne nazwiska. Tego rodzaju rozmowy przebiegały szybko: załatwiano sprawę bez rozmawiania o zbędnych szczegółach. Doniesienia zachowane w dokumentach SB pokazują, jak było to ważne wobec prób docierania do takich środowisk przez policję polityczną PRL.

Niekiedy wiązały się z tym problemy. Jak wspomina Aleksandra Zawłocka (jedna z organizatorek kolportażu ▶



Fot.: Ania Pietuszkó / FORUM

▶ Redakcja podziemnego „Tygodnika Mazowsze”, od lewej stoją: Wojciech Kamiński, Tomasz Burski, Joanna Szczęsna, Helena Łuczywo, Piotr Pacewicz, Anna Bikont, od lewej siedzą: Krzysztof Leski, Marta Woydt, Zofia Bydlińska, Olga Iwaniak; 1988 rok



„Woli”), po zatrzymaniu Macieja Zalewskiego środowisko „Woli” nie wiedziało, gdzie znajduje się przechowywany przez niego sprzęt. Zawłocka, która była tam raz z Zalewskim, pamiętała tylko, że to Konstancin. Ostatecznie miejsca nie udało się znaleźć. Takich sytuacji było z pewnością wiele. Dopytywanie o szczegóły bywało czymś podejrzanym, nie wypadało zadawać zbyt wielu pytań. W myśl konspiracyjnych zasad należało nie pytać, co dana osoba robi, a jeśli się wiedziało, to należało udawać, że się nie wie. Nawet gdy sobie ufano, przekazywano tylko niezbędne informacje. Konspirator miał wiedzieć możliwie najmniej. Dariusz Stola i Bogdan Wróblewski, koledzy ze studiów, kolportowali „Wolę”, odbierając egzemplarze pisma z tego samego miejsca i tego samego dnia od Aleksandry Zawłockiej, obaj jednak długo o tym nie wiedzieli. Zawłocka, która знаła Stole z chóru, nie wiedziała, że pod koniec lat osiemdziesiątych zaczął on pracować w redakcji pisma.

Oczywiście, zdarzało się często, że te zasady były łamane, ludzie z różnych środowisk opozycyjnych się znali, o niektórych rzeczach wiedzieli, a innych mogli się domyślać. W solidarnościowej konspiracji istniały różne stopnie wtajemniczenia. Ci znajdujący się blisko redakcji czasem wiedzieli, kto tworzy poszczególne pisma, niekiedy znali ich z widzenia, pseudonimu czy nawet nazwiska. Inni mniej więcej wiedzieli, jakie środowisko może stać za danym tytułem, nie znając – a często nie chcąc znać – szczegółów. Osoby kolportujące niewielkie ilości bibuły oraz jej czytelnicy przeważnie nie mieli o twórcach wydawnictw żadnych bliższych informacji.

### Co robić po zatrzymaniu?

Piotr Stasiński, współtwórca podziemnego tygodnika „Wola”, 27 stycznia 1982 roku dostał od współpracującego z nim grafika informację, że ma on w domu kilkaset wydrukowanych egzemplarzy pierwszego numeru pisma i chce, żeby ktoś je od niego odebrał. Powód był prosty. Kurier, który miał to zrobić, nie pojawił się, a grafik nie chciał przechowywać

takich materiałów zbyt długo. Stasiński pojechał do niego, żeby zabrać tę część nakładu. Miał przy sobie jeszcze dwie inne paczki. W jednej z nich znajdowała się mała walizkowa maszyna do pisania, a w drugiej ubrania przeznaczone dla jednego z internowanych. Stasiński chciał pojechać do Pałacu Staszica przy Krakowskim Przedmieściu, gdzie pracował, i rozpowszechnić pierwszy numer „Woli” wśród pracowników Polskiej Akademii Nauk. Było to – jak sam zresztą przyznał – zachowanie bardzo nieostrożne i złamanie zasad konspiracji. Osoba należąca do redakcji nie powinna bowiem zajmować się kolportażem i iść do swojego miejsca pracy obladowana podziemnymi publikacjami. Przenoszenie tak dużej liczby egzemplarzy podziemnej prasy oznaczało bardzo duże ryzyko.

Stasiński przyjechał samochodem w okolice Pałacu Staszica i szedł w kierunku budynku z tymi trzema paczkami. Trudno było w takiej sytuacji pozostać niezaważonym. Współtwórca „Woli” zwrócił na siebie uwagę patrolu wojskowo-milicyjnego, który go zatrzymał. Stasiński został doprowadzony do Zarządu WSW Warszawskiego Okręgu Wojskowego, który mieścił się w znajdującym się kilkaset metrów dalej tzw. Domu Bez Kantów przy Krakowskim Przedmieściu. Zatrzymanie osoby przewożącej tak dużą liczbę nielegalnych publikacji musiało stanowić istotny trop. Przy Stasińskim znaleziono m.in. 450 egzemplarzy pierwszego numeru „Woli” (w relacjach wspomina on o pięciuset, liczbę tę możemy sprecyzować dzięki dokumentom dotyczącym jego zatrzymania), inne podziemne ulotki oraz instrukcję budowy ręcznego powielacza.

Prokuratura Garnizonowa w Warszawie wszczęła śledztwo na podstawie dekretu o stanie wojennym. Sprawą zajęła się też Komenda Stołeczna Milicji Obywatelskiej. Funkcjonariusze interesowali się posiadanymi przez Stasińskiego kontaktami i twórcami znalezionego przy nim pisma „Wola”. Zatrzymanego przesłuchiwali funkcjonariusze Wojskowej Służby Wewnętrznej. Jak wspominał, w czasie rozmowy bezskutecznie pró-

bowali nawiązać z nim nic porozumienia i zniechęcić go do liderów Solidarności. „Ot, pan jesteś idiota i pójdziesz pan siedzieć, a taki Geremek, co to pan się jemu wysługujesz, bo pan jesteś dywersant i kontrrewolucja, taki Geremek to sobie [...] na Sorbonie będzie wykladał, a pan tu zgnijesz w pierdlu” – takie słowa zapamiętał Stasiński. Innym typowym trikiem zastosowanym przez funkcjonariuszy policji politycznej PRL była przeznaczona dla zatrzymanego „dobra rada”, żeby „pomyślał o rodzinie”. Funkcjonariusze w czasie przesłuchania sugerowali Stasińskiemu, że wiedzą, że to on napisał tekst *Czerwone i czarne* z pierwszego numeru pisma, co Stasiński uznawał jednak za błąd z ich strony. Następnie został przewieziony do gmachu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych na Rakowiecką. Przesłuchujący go już wcześniej – dzięki rewizji w jego domu – zdobyli ważne informacje. Zarekwirowali tam większą ilość papieru, pism drugiego obiegu, instrukcje stworzenia powielacza i odręcznie napisaną ulotkę *Czerwone i czarne*. Był to tekst opublikowany na łamach pierwszego numeru „Woli”. Funkcjonariusze mieli istotne przesłanki, wskazujące, że zatrzymany był osobą zaangażowaną nie tylko w rozpowszechnianie, ale i w tworzenie podziemnej prasy.

Stasiński po aresztowaniu niemal na „gorącym uczynku” znajdował się w trudnej sytuacji. Wymagała ona rozważenia, co mogą wiedzieć funkcjonariusze. Musiał przyjąć pewną strategię działania i zdecydować się, czy w ogóle nie odpowiadać na zadawane mu pytania, czy też podjąć pewną grę i do pewnych rzeczy się przyznawać. Stasiński wybrał ten drugi wariant. Przyznawał się jedynie do chęci rozprowadzenia wydawnictw, którymi dysponował, wśród pracowników PAN. O tym funkcjonariusze i tak musieli wiedzieć, biorąc pod uwagę okoliczności zatrzymania. Nie powiedział wówczas, skąd uzyskał podziemne publikacje. Po latach wspominał, że koncentrował się na pokazaniu, że kierowały nim silne emocje, i nie podawał przesłuchującym żadnych szczegółów. Wobec

dowodów zebranych w czasie rewizji w domu ta wersja nie mogła być w pełni przekonująca dla funkcjonariuszy. Stasiński, nie przyznając się do swojej działalności, zachowywał jednak zdecydowaną postawę. Jeden z przesłuchujących go funkcjonariuszy zapisał: „Zatrzymany nie ukrywał, że jest zdecydowanym przeciwnikiem stanu wojennego i istniejącego w Polsce »systemu partyjnego«. Oświadczył, że w swoim działaniu, mającym na celu rozpowszechnienie ulotek, kierował się względami ideowymi”. Z informacji na temat jego wcześniejszej działalności funkcjonariusze wnioskowali, że Stasiński jest zaangażowanym opozycjonistą i był aktywny również po wprowadzeniu stanu wojennego. Sądzieli, że w inicjatywę, którą współtworzył Stasiński, włączone są osoby wywodzące się ze środowiska PAN i Uniwersytetu Warszawskiego. Materiały, które miał Stasiński, prowadziły ich do wniosku, że działalność ta ma zasięg ogólnokrajowy.

W aktach Piotra Stasińskiego znajduje się obszerne doniesienie tzw. agenta celnego (agenta, który był osadzony z nim jednej celi). Stasiński rozmawiał o różnych sprawach, część stanowiły informacje dotyczące aktywności podziemnej, dbał jednak o niepodawanie informacji mogących sprowadzić na kogoś niebezpieczeństwo. Na kolejnych etapach śledztwa Stasiński przedstawił zmyśloną wersję wydarzeń i trzymał się jej w czasie rozprawy w Sądzie Wojskowym Okręgu Warszawskiego. Twierdził, że nie znał treści przewożonych przez siebie materiałów, i otrzymał je od osoby o imieniu „Kuba”, którą znał od człowieka o imieniu „Karol”. Według przedstawionej przez siebie wersji wydarzeń miał jedynie domyślać się, że są to materiały bezdebitowe, i chciał je przekazać komuś w PAN, nie miał zaś zamiaru ich kolportować. Piotr Stasiński został skazany na rok pozbawienia wolności w zawieszeniu na trzy lata. Po wzniesieniu rewizji we wrześniu 1982 roku sąd go uniewinnił. Po paru miesiącach przerwy Stasiński wrócił do pracy redakcyjnej. Zarówno akta na jego temat, jak i te dotyczące „Woli”, nie wskazują, by po tym



Fot. AIPN

powrocie funkcjonariusze uznawali go za jedną z głównych osób tworzących to pismo. Strategia zachowania realizowana przez niego po zatrzymaniu pozwoliła mu więc odnieść sukces.

Podobnych historii było wiele. Dla zachowania konspiracji niezwykle ważna była postawa tych osób, które w czasie przesłuchań nie przyznawały się do niczego więcej niż to, o czym przeciwnik wiedział. Często strategią było niemówienie niczego. Przesłuchania miały często gwałtowny przebieg i niektórzy konspiratorzy dawali się przekonać czy zastraszyć do zeznań czy też podjęcia współpracy z SB. Policja polityczna również odnosiła sukcesy w walce z podziemną Solidarnością. Nigdy jednak nie udało się jej całkowicie pokonać. 🇺🇸

Jan Olszok – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN; przygotowuje książkę o podziemnym dziennikarstwie w czasach Solidarności